Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 35. Poznań, dnia 31. Sierpnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

Völkerschau auf Reisen
von Theodor Mundt, Iter Band, Stuttgard 1840.

(Dokończenie.)

Nakoniec opisuje autor niektóre znakomitsze budowle Krakowa. Ale i tu na tych czernią wieków popisanych murach, jak z hieroglifów czasu, odgaduje raczéj myśl dziejową, a nie daje opisu rozmiarów i ozdób, które tylko bezpośrednią drogą oka dadzą się w zupełności pochwycić, i wpłynąć na gust i wyobraźnią widza.

Najwydatniejszy budynek położeniem i pamiątkami z przeszłości, jest zamek na Wawelu i połączony z nim kościół katedralny. Senatus populusque Cracoviensis restauravit, jest szumny napis nad bramą zamkową, którym dawne mieszkanie królów polskich wita dalekiego przychodnia. Prawdziwie ironiczne naśladowanie owego głośnego i poważnego godła pod konsulami rzymskimi: senatus populusque romanus, za nim i tego nie z-ironizowało owo Caesar Augustus. Gdzie ten senat, gdzie jego powaga szerokowładna? pyta dziejopis, gdy widzi senatory rzymskie ze schyloném czołem przed boskim Augustem, nieme i drżące ich postawy przed Neronem, alboli dochodzą uszu jego poklaski i krzyki: święty, święty, najpotężniejszy, najlepszy. Gdzie jest, pyta daléj on lud dzielny Romula, co pomścił się krzywdy Kollatyna, i świat podbił pod swoje panowanie, co obywatelstwo Rzymu nadawał jako najszczytniejszą nagrodę królom i narodom? Pod Cezarami oblega jak Lazaronowie portyki gmachów, poklaskuje w stolicy świata gęślarzowi Neronowi, i na igrzyskach hucznych igrzysko robi z dawnéj wielkości swojéj! Taką ironią skrzywi się i przychodzień czytając przytoczony napis. Aleć wejdźmy przez tę bramę, przez tę samą, przez którą lud krakowski witał Jagiellonów i Wazów swoich, kiedy albo w królewskim majestacie wychodzili na ratusz miasta odbierać hołd i przysięgę książąt hołdowniczych, albo wracali kurzem okryci ze zwycięztw odniesionych nad nieprzyjaciołmi Polski; — jakiż to widok powszedni wśród wspomnień tak świetnéj przeszłości uderza oko wędrówca! Ubóztwo w łachmanach, żołdactwo rozgoszczone rozwiesza bieliznę po korytarzach przekupki z owocem, dzieciaki niechlujne wałęsają się po podwórzu, i zalegają miejsca niegdyś uszanowania pełne.

Dolne mieszkania zamku przeznaczono na przytułek ubogim starcom, nie mającym na późne lata swoje żadnego utrzymania. Pomieszczono także dzieci, których rodzice ubodzy pomarli na cholerę; dorastają tu kosztem miasta utrzymywani, i sposobią się na ludzi pożytecznych do rzemiósł, robót i t. p. Prawdziwa ironia czasu, czego się kraj sam na starość doczekał, i na co mu przyszło, gdy polityczna i socyalna cholera wyniszczyła dawną zamożność jego. — Wyższe piętra zamieniono na koszary, i sale i komnaty królewskie zapchane łożami i żołnierstwem. A jak biedak jaki, gdy mu się zdarzy strojną suknię dostać albo znaleść, nie śmie jéj wdziać na siebie, ale z niéj wprzody strój poździera; tak i tu, czy z jakiego szacunku, czy z rzeczywistego wstrętu, jaki ma niskość dla wielkości, zatarto wszystkie ślady dawnéj wspaniałości mieszkań monarszych, i obielono wapnem marmurowe i mozaikowane kolumny i kominki, zarzucono niém roboty sztukatyerskie po ścianach. Gdzieś niegdzieś poodpadało wapno, i przeziera różnobarwy marmor, alboli rzeźba jaka z czasów historycznych nieśmiałém spojrzeniem, jak stary sługa w zamku dawnych swoich panów, w którym z nowém państwem nowe weszły urządzenia, i boleje, że tak wszystko poszło w poniewierkę. Z okien tak obszernych, że zdawało się, iż cała wielkość i wspaniałość królewska wyglądać z nich miała na gród stołeczny, i na odwrót promienie z całéj Polski staczać się do komnat zamkowych, nie zostawiona jak czwarta część otworu, reszta zamurowana, a ozdoby u okien i drzwi poodrywane. Nemesis dziejowa widać straszną miotłą schłostała rozkielznaną dumę narodową, zdeptała wszelaką wzgardą i poniżeniem, i tak upodloną odkopnęła od siebie. Mimo owéj restauracyi senatu i

ludu krakowskiego zamek upadkiem grozi, i porysała się część murów. Zda się, że zajękły na to poniżenie cienie Krakusa w jaskini Wawelu, zachwiały się fundamenta i popękały mury.

Tuż z zamkiem łączy się kościół katedralny. Jest to polskie Westminster, zachowujące popioły królów i zasłużonych w ojczyznie mężów; przedstawiające w licznych grobowcach rysy ich twarzy i postacie jakie mieli za życia. Świat przeszłości zamroczony cieniem grobowym. Otaczają cię groby zamarłych wieków, i zamarłéj z niemi świetności. Ludzie tych minionych czasów niemym na cię spoglądają wyrazem, jak nieodgadnione sfinxy, i zda się, że czujesz się w obecności nieśmiertelnego ich ducha. A jakby ręka wszystko niszczącego czasu uszanowała to miejsce pobytu zmarłych, nie dotknęła się go palcem swoim; stoi ona świątynia w całéj jeszcze sile i wspaniałości, kiedy zamek, mieszkanie doczesne tych, co tam władali a tu spoczywają, poniżało poniewierką i wali się w gruzy. Jestto Mauzoleum dziejów Polski, i bohatyry tych dziejów wolni znojów nieszczęść i niepokoi za życia, spoczywają tu jeden obok drugiego w uroczystém milczeniu. Błogosławieństwo nieba zlało się na nich po śmierci, żadna rewolucya czasu nie naruszyła ich popiołów, furye zniszczenia oblatywały nie raz na okół, ale nie naruszyły świętości tych grobowców, na których straży stoją środkiem kościoła zwłoki Ś. Stanisława Szczepanowskiego, patrona Polski. Znać krew jego rozlaną na stopniach ołtarza w Skałce, przebłagali następcy Bolesława śmiałego, modląc się na nich w czasie koronacyi. Zaś, jakby przeznaczeniem losu tak wypadło, Stanisław August ani się koronował w Krakowie, ani za mord poprzednika swego Bogu błagalnéj nie złożył ofiary. — Po przytykających kaplicach, po trumnach w grobowcu, leżą figury zmarłych w całych postaciach, królowie w koronach z berłami, w zbrojach rycerze, biskupi w infułach, królowe w ubiorach, jakie za życia nosiły. Najwspanialszy to materyał, z którego świątynia ta powstała: cały skarbiec narodu, najdroższa puścizna jego, złożona z najszczytniejszych pamiątek przeszłości. Jest to miejsce poświęcone razem potędze i znikomości jego, wielkości czynów i wielkości nieszczęścia.

Tu Bóg, który przenosi królestwa od narodu do narodu, upodobać sobie musi w modłach korzącego się ludu; tu modły same muszą być rzewlisze, gorętsze; tu pęka serce od żalu, albo li zapala się silną wiarą. Dzieje Polski tu zamkły się, i zamieniły w nabożeństwo. Niecnota i nieprawość przepadły, ułomnościom przebaczono, a cnota i wielkość duszy rozpromieniły blaskiem świętym oblicza swoje. Stanęła świątynia ludu z dziejów jego, i przebłagana klątwa, która na nim ciążyła. Jest to religia przeszłości ludu, której cześć oddaje i oddawać powinien.

Nierównie świetnym pomnikiem przeszłości jest akademia Jagiellońska. Zamarły nauki, i dawna słynność uczonych zstąpiła do grobowca. To życie, które się jeszcze objawia, jest jakby życie żyjątków na obumarłém ciele głównéj szkoły państwa. Westminsterem akademii krakowskiéj, jest jéj książnica, bogata w dzieła i rękopisy professorów krakowskich. Na podobieństwo tego, cośmy o zamku i katedrze powiedzieli, i od tego Westminsteru oświaty narodowéj furye zniszczenia i zagłady stroniły, jakby ręką opatrzności odpierane, kiedy akademia sama do upadku się nachyliła. Snadź w roku 1833. porysowały się jéj mury najbardziéj. Stoi dziś jako poważna ruina duchowego życia narodu, a wszakże z téj ruiny, jakby z latarni nadmorskiéj w noc ciemną, poświeca na kraj jedyne światło. — Jakżeby dziś zaczął Sołtykowicz mowę sprawodawczą, który ją za czasów Fryderyka Augusta już od tych rozpoczął wyrazów: »Gdy mi stojącemu na tych smutnych gruzach starożytnéj Piastów i Jagiellonów chwały, mówić przychodzi przed w. kr. mością!« i t. d.

Powtórzmy więc słowa uczonego autora o stanie akademii krakowskiéj, bo się dziś wiecéj niż wówczas zastósować dadzą. »Miejsce to w porównaniu dawnéj swojéj świetności uważane być może, jak owa na rzymskich albo attyckich stepach opuszczona Bogów świątynia, któréj wspaniałe gruzy i ułamki, zastanawiając nad sobą pilne mądrego znajomca oko, wzbudzają razem w rozrzewnionéni jego sercu sprawiedliwy żal naprzeciw robotom opinii, chciwości i gwałtu. Któżby bowiem powiedział, patrząc na obecny stan akademii krakowskiéj, że to jest taż sama przez tyle wieków sławna powszechna królestwa szkoła, któréj wspaniałe ręce wielkiego Kazimierza węgielny założyły kamień, którą wiekopomnéj sławy Władysław Jagiełło, na to miejsce sam własną królewską wprowadził ręką, dobrodziejstwy obsypał, a wysokiemi przywilejami na mistrzynią całego narodu, i królową całéj stanu nauczycielskiego hierarchii w obszernych granicach kraju przeznaczając, podzielił z nią uprzejmie i herby koronne i berło własne?« — »Los ciała politycznego udziela się, że tak rzekę, duszy jego, to jest naukom, podobnie jak choroby ludzkiego ciała uderzają niemocą wszystkie władze umysłu, przygaszając w nim nieraz aż do ostatniéj iskierki rozumu. I jako gdy stolica myśli, gwałtowną uszkodzona jest siłą, myśl zdaje się opuszczać swój znieważony przybytek, niszczeją siły żywotne, a człowieka dostoj-

ność wnet do pospolitych zwierząt stanu poniżona zostaje; tak i w narodzie każdym zgwałcone siedlisko rozumu i mądrości, daje prędko czuć wyrządzoną sobie krzywdę, przez upadek w społeczności porządku, przemysłu, potęgi, i saméj nakoniec cnoty.«

Literatura krajowa.

Poezya.

Krakowiak.

Wesoły, szczęśliwy!
Krakowiaczek ci ja;
A mój konik siwy,
Raźno się uwija.
Uwijaj się, raźno bież,
Kopytami ognia krzesz!

Czapeczka czerwona
Na głowie mi płonie,
Pokazuje ona,
Że mi gore w łonie.
Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłoń!

Z czapki pawie pióro
Barwami się mieni,
Jak dzionek za chmurą,
Gdy ją świt zrumieni.
Dumnie błyszczy pawi puch,
I ja dumny — i ja zuch!

Krakowiaczek ci ja,
Pędzę sobie żwawo,
Kto mię nie wymija,
Plunę w twarz kurzawą!
Bo ja pan! bo ja król!
Pośród swoich niw i pól!

W koło szumi zboże,
Kłania mi się kłosem,
Kiedy zbiorę — zorzę,
To pobrzęknę trzosem.
A dziewczęta w całéj wsi
Będą się przymilać mi!

I ta, i ta ładna,
Lecz próżne ich chęci;
O! bo mnie już żadna
Nie zwabi, nie znęci!
Jedno tylko serce mam,
Jedną tylko Halkę znam.

Kraków, dnia 17. Sierpnia 1840. r. — *E. W.*

Wyjątki z najnowszéj powieści M. Czaykowskiego:

KOSZOWATA.

(Dalszy ciąg.)

W pierwszéj komnacie stał kozak, rosły, czupurny, pohoży, młody, taki chwat, iż na nim literami życia wypisana ta treściwa gadka:

A ja kozak z Ukrainy,
Kozak z rodu — kozak z miny.

Skłonił się i patrzał nie jak sługa, ale jak pan. — »A co, Maxymie?« — »Sława Bogu, dobrze.« — »Pan wojewoda?« — »Oto list od wojewody!« — Starosta czytał i twarz jego zarumieniła się niezwykłym rumieńcem, ale nie rumieńcem gniewu i oburzenia — bo dość wesoło spojrzał w oczy kozakowi, i nie zagniewał się na widok téj hardéj postawy dziecięcia stepu, tego dumnego wzroku, co to bez słów mówi napuszonemu pankowi: nie powitałeś mnie nawet, jak z psem się obszedłeś — ale nie pytaj, co o tobie myślę, bo dalibóg powiem. — »A kiedyś z Humania wyjechał?« — »Wczoraj z wieczora.« — »Pan wojewodzic kiedy miał wyjeżdżać?« — »Nie wiem.« — »Powiedz Iwanowi, żeby zaraz po wieczerzy konie zaprzęgał.« — Kozak obrócił się i wyszedł.

Starosta wrócił i wziąwszy cześnika na stronę, pokazał mu list — a kiedy go cześnik przeczytał, on rzekł: »Musimy jechać, i to zaraz.« — »Ależ noc, taka zawieja, i psa ciężko na podwórze wygonić — ja to widzę, że trzeba jechać, — wiesz wacpan, tak zrobić, jedź dziś sam, a jutro moja stara odwiezie Marynię.« — »Nie — bez gospodyni w domu nie dałbym sobie rady, a wojewodzic może do dnia nadjechać — on to robić umie.« — Cześnik zamilkł, a po chwili przystąpił do żony i coś do ucha mówił, właśnie wtenczas, kiedy starosta Maryi oświadczył, że zaraz po wieczerzy pojadą. — Starościna ani słówka nie rzekła, tylko na ślicznéj twarzy obok nieprzyjemnego wrażenia odbiło się zupełne posłuszeństwo mężowskiéj woli. Panowie Stanisław i Antoni, a z nimi namiestnik Niemirycz, oświadczyli się, iż odprowadzą starostwo aż do Koszowaty. — Starosta schmurzył się, »Bardzo dziękuję — i sami zajedziemy bez trudu waszmość panów.« — Na grzeczne naleganie wojaków starosta niegrzecznie odpowiedział: »Obejdziemy się bez tego — każdy niech robi to, co do niego należy, a nie wtrąca się do cudzych rzeczy.« — Byłoby może przyszło do sporu, bo już Niemirycz zakraśniał i wąsik musnął — ale Marya spojrzała na niego wzrokiem tak błagalnym, iż on się zatrzymał, — a wtém dano do wieczerzy.

Przy wieczerzy jakoś niekoniecznie było wesoło, — cześnik nie gadał już zięciowi po raz drugi: nie jedźcie, zostaw żonę. Cześnikowa, jak przykazań Bożych, tak

i tego dopełniała, żeby nigdy nie narażać się na odmówienie zięcia, do czego najkrótszą drogą było o nic nie prosić. — Nigdy też w obec ludzi nie upominała swoich dzieci, a nawet rad im nie dawała. Na osobności, kiedy była z niemi sam na sam, to i radę i przestrogę i pocieszenie udzielała, jak co komu było potrzebném. — Maryni zaś przedewszystkiem zalecała: posłuszeństwo, łagodność i przywiązanie dla męża, — bezustannie jéj powtarzała: co ci mąż każe, to rób skwapliwie, z uśmiechem, z dobrą wolą — i zawsze mów pacierz na jego intencyą — to zastępca rodziców, to twój pan i opiekun — on ciebie i połaje i popieści — on czuwa nad tobą — ty mu osładzaj życie przez wdzięczność, przez powinność i wiarę.

Dwaj bracia z ukosa pozierali na szwagra, a pan namiestnik widocznie gniew powstrzymywał i milczał. Panny nawet, choć to tam żadnéj zwady nie było i milczenie miało widoczną górę nad słowami, jakoś zastrachały się małżeńskiego posłuszeństwa — i mimowolnie myślały o małżeństwie. Starzy tylko panowie rozmawiali, o ile jadło pozwalało wolności gębom — bo też wieczerza była wyśmienita, — jaglany krupnik z półgęskiem, zrazy zawijane z zawiesistym sosem, obwarzana kasza ze świeżą słoninką, lemieszczane pirogi z sérem, suto podlane masłem, a do nich śmietana jak w maju żółtawa, cietrzew z buraczkami, mleczko z cynamonem i z goździkami, i kapłon ze świeżém masłem i z imbirem, do tego stary miód lepszy od małmazyi, wonny malennik, i węgrzyn złoty, co myszką trącił, a w kieliszku jak obrączką oliwy lgnął do szkła. — Podkomorzy rozkoszował z tém winkiem »Mosanie cześniku po takiém winku całą noc możnaby hysie wśród zawieruchy wystać i nie zmarznąć — dalipan we mnie starym, a już krew tak zaczyna grać, jak to bywało niegdyś przed trzydziestu laty.« — »Masz waszmość prawdę, winko i dobre i smaczne,« odpowiedział Topczewski, »ale wolałbym po niém siedzieć w ciepłéj izbie, jak wyścibiać nos na mróz i śnieg. Ot i państwo starostwo lepiéj by zrobili zanocować, a ja podejmuję się przed świtem zbudzić.« — Starosta nic nie rzekł, a rotmistrz nadpił winka, »Zapewne lepiéj zostać, tożeż to dziś niepokalanego poczęcia, wilcy zaczynają się gromadzić, nie bardzo to bezpieczna rzecz, spotkać się z tymi paniczami w drodze.« — Marya sama nie wiedzieć, dla czego zadrżała, — a starosta spojrzał na nią — »Mam z sobą sztuciec luftkami nabity, a zresztą żeby wilka się bać, to nie trzeba ani kroku z domu wychodzić.« — »Wilka bać się nie trzeba, ale narażać się na niebezpieczeństwo, i to bez potrzeby?« — »Dla waszmość pana nie masz potrzeby, a dla mnie jest — żadnego niebezpieczeństwa nie masz — zresztą potrafię obronić moję żonę.« — »Ale wiesz wacpan dobrodziéj,« rzekł sędzia, przełykając spory kawał kapłoniego skrzydełka, »że drogi muszą być zupełnie pozasypywane.« — »Nie zdaje mi się.« — »Maxym nam najlepiéj o tém powie,« podchwycił Topczewski.

Wszedł Maxym, hardo, zuchwało, aż dusze wojaków skoczyły ku niemu, jakby na powitanie brata — i cześnik spojrzał na niego z uśmiechem, »Jak się masz, Maxymie?« — »Dziękuję ojcze, sława Bogu zdrów.« — Cześnikowa w szklankę malinniku mu nalała, »Wypij Maxymie.« — »Za zdrowie wielmożnych państwa i wszystkich pań i panów!« duszkiem łyknął. — »Czy wielki śnieg upadł?« — »Cały dzień jak z rękawa sypało, a tak nasypało, że koniowi aż za kolana.« — »A drogi pozawijane?« — »Wszędzie gładko jak na stole — djabła tam drogi szukać.« — »I jakżeś tu trafił?« — »U nas droga w głowie, taj w oczach.« — Cześnik pokręcił głową, »To prawda, prawda, u nas tak, — chłopcze, tybyś nie zbłądził do Koszowaty?« — »Na biedę by przyszło, żeby jeszcze błądzić — mogiły za mogiłami, dęby, jary, futory, to droga kozacza.« — Starosta obrócił się »Maxymie, ty z nami pojedziesz, a Chwedko tu zostanie, jutro twoim koniem przyjedzie.« — Starościna uprzejmie spojrzała na męża, jakby na podziękowanie, ta ufność Maxyma w samym sobie, odegnała trwogę z jéj serca, — a cześnikowa mrugnęła na Ignacego: »Pamiętaj tam o Maxymie,« i z cicha dodała: »dać mu jeść to, co się ze stołu zostało.« — »Moja imość, któżby o nim nie pamiętał — to taki zuch, że aż miło.«

Po wieczerzy cześnik mówił: »Ja teraz spokojniejszy jestem, jak widzę tego chłopca, to mi się zdaje, że to jakiś z tych dawnych chwatów zaporozkich — on się nie uczył tych słów: trudno, nie podobna, — co pomyśli, to można, a co można, to i zrobi.«

Niemirycz zbliżył się do pięknéj Maryi: »Gdyby nam było wolno, mybyśmy chcieli odpowiadać za jéj bezpieczeństwo, i tak niech pani starościna udzieli nam łaskawie pozwolenie, a my kroku od jéj sani nie odstąpimy pomimo zakazów« — »Panie namiestniku, na miłość Boga, niech panowie nie jadą.« W jéj głosie było coś tak błagalnego, że trudno było nie spełnić, a nawet przeciwić się jéj woli. — Niemirycz milczał, tém milczeniem, co to nie śmie powiedzieć: tak nie zrobię, albo tak zrobię. — Starosta wnet tam przystąpił: »Żono, ubieraj się, zaraz jedziemy.«

Starosta we wchodowéj komnacie obzierał nabój sztucca i podsypował świeży proch na panewkę, a starościna przybierała się w kobiecym pokoju. Żegnała

gości i domowych, a łzy jéj stały w oczach. Ten wyjazd nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, ale ta oschłość i surowość mowy i postawy męża jakąś nieznaną trwogę lała do duszy, — ściskając matkę nie powiedziała, ale pomyślała: oj mamo, mamo, czemuś mnie wydała za mąż — mnie tu tak dobrze było koło mamy. I ojciec i matka nie śmieli słowami pocieszać lubego dziecięcia — tylko dali córce po kilka pocałunków, na błogosławieństwo, i kilka razy przeżegnali krzyżem świętym, na odegnanie wszelakiego nieszczęścia. — Niemirycz pokłonił się i pocałował w rękę starościnę, ale po twarzy u niego widać, że jakąś dumkę marzył, bo spojrzawszy na starostę, oczyma dziko zatoczył i coś szepnął na ucho panu Stanisławowi, a ten skinął głową na znak, że się rozumieją.

Zawierucha już ustała, śnieg jeszcze polatywał, a srebrnolicy księżyc poodchylał chmury i wypłynął na niebiosa, sieje tumannem światłem po białawych obłokach, a na ziemi rozmaite cienie łamią się w dziwne kształty. Starosta wilczurą otulił nogi żony, i sam koło niéj się usadowił. Maxym wskoczył na kozioł obok Iwana i ruszyli. Saneczki leciuchne, a dwa konie, silne jak lwy, dziarskie jak sokoły, kopią śniegiem, dzwonki pobrzękują. Iwan lejcem kieruje przez znane uroczyska. — Starościna po cichu myślą modli się, starosta rozmyśla, a Maxym rozpatruje pomiędzy te dęby zrzadka rozrzucone, pomiędzy te mogiły, co na białym śniegu bieleją jeszcze jaśniejszą bielizną, niby przypruszone światłem księżyca; tęskno kozaczéj duszy — to mogilnik ludzi pomarłych w uczciwości wojskowéj, to pomnik sławy niesterany ludźmi, niespożyty wiekami — a i on kozak, dziecie stepu, a sługa, niewolnik lackiego panka, — nieraz słyszał ostre słowa i ostrzejsze jeszcze groźby, a cierpiał i znosił, — widział niewolę, mitręgę ludu i nie sarkał i nic nie mówił — ale kiedy zobaczył ten mogilnik synów wolności, ludu bezpańskiego, co pobratymczo z Lachami bronił Matki Polski, — tęsknota zagrała mu w duszę na nutę zemsty i wolności, jakby to były dwie rodzone siostry, jakby ten, co stracił wolność, powinien był mścić się koniecznie, a ten, co się już zemścił, odzyskiwał wolność natychmiast. Mimowolnie głowę obrócił ku państwu, — surowe oblicze starosty dorzuciło dzikości do i tak już dzikiéj duszy — ale wejrzenie Maryi, ku niebu wzniesione, jakby tam modły słało, i ztamtąd błagało łaski, takim tchem wionęło na rozognioną duszę, jak błogi wietrzyk na wędrówca palonego skwarem słońca wśród bezwodnéj pustyni, — popatrzył na świat, zadumał — oj dola nasza, biedna dola — wzniósł oczy ku niebu, zaszemrał »Boże pomiłuj nas!« i troche mu spokojniéj było na sercu.

Ale ten spokój trwał krótką chwilkę, jakby on tylko był odpoczynkiem szamotania się kozaczéj duszy — na to tylko, aby rozhukana dumka w czyn się nie przeobraziła, — na to, aby znowu duszę zwrócić do tych podstrajań rozmarzania się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Listy ajenta saskiego

podczas bezkrólewia po Auguscie III. i w początku panowania Stanisława Augusta.

(Dokończenie.)

XV.

Warszawa 2. Marca 1764.

Dziś rano odwiedziłem kanonika, w nadziei otrzymania jakich nowin, któreby były godne pańskiéj wiadomości. Odprowadzając mnie mówił u drzwi we wyrazach bardzo ogólnych i tajemniczych, że stronnictwo saskie wzmacnia się bardzo i wzmocni się jeszcze bardziéj, skoro jedna rzecz stanie się wiadomą narodowi, a szczególniéj stanowi rycerskiemu, że król pruski jest geniusz bardzo trudny do podejścia i do odgadnięcia i że —, naczém uciął i poszedł sobie. Książę Lubomirski podstoli, który przybył niedawno, oświadczył wczoraj prymasowi, że jeżeli Piast ma z wyłączeniem drugiego ubiegać się o koronę, pochlebia sobie, iż będzie miany wzgląd na jego urodzenie, zasługi, które przodkowie, on i cały dom Lubomirskich przynosili ojczyznie. Prymas zdziwiony wyrazistością jego mowy odpowiedział, że po elektorze saskim on jest pierwszy, który się jawnie podał do korony, że drudzy spółubiegający się, jeśli są, zdają się to pozostawiać głosom senatorów i szlachty i nie grozili zaraz, że chcą odnieść zwycięstwo w wielkiéj walce. — Był tam ktoś, który chcąc pokazać niepodobieństwo osiągnięcia zamiaru, pytał się Lubomirskiego z miną tryumfującą o mocarstwa, na których wsparcie liczy. Bez namysłu odpowiedział: »są to Bóg, moi przyjaciele i ja sam; wreszcie Prussy i Moskwa nie oświadczyły się za jedną rodziną, lecz za Piastem, a ja ubiję tego, kto mi śmie zaprzeczać, iż nie mogę się uważać za Piasta. Przy tém zdarzeniu chwalono bardzo politykę księcia administratora saskiego, który nie płynie bez szukania drogi spławnéj, i który spodziewa się wszystkiego w tym sławnym symbolu: divide et impera. Odbywano dziś naradę z posłem cesarzowéj-królowéj, panem Merci d'Argenteau, u wojewody Kijowskiego. Ten i inni przyjaciele sascy dla formy oświadczyli się za podstolim. Można się łatwo domyślić, że to wszystko robi się tylko dla przegryzienia familii.

O każdéj godzinie dzień za dniem oczekują oświadczenia uroczystego od wojewody ruskiego. Poniatowski przeciwnie zagroził mocném zjeżdżeniem każdego, ktokolwiek śmiałby nazywać go królem; bo wielu jest, którzy go z drwin tak tytułują, — oczywiście więc nie wierzy w swoje wstąpienie na tron.

XVI.

Warszawa, 17. Marca 1764.

Poseł cesarzowéj, królowéj i króla francuzkiego oświadczyli wczoraj prymasowi, że ich monarchowie byliby radzi, gdyby sprawy odbyły się w spokojności i bez krzywdy czyjéjkolwiek. Te dwa oświadczenia będą zamieszczone w gazecie, gdyż nic nie zawierają, coby okazywało jaką stronniczość lub coś jawnie przeciwnego interesom familii. Hetman wielki koronny zbiera wojsko, jak wszyscy inni panowie Polscy, a głównie regiment hussarzy, którzy mają albo będą mieli uniform na wzór Schiebla. W ciągu ostatniéj wojny sądzono często o życzliwości monarchów z koloru wojska. Zastósujmy ten charakteryzm do hetmana Branickiego, a będziemy mieli zasadę do uwierzenia, że jest zupełnie za Saxonią.

Podstoli książę Lubomirski wyjechał na Wołyń, gdzie będzie marszałkował kapturom, za nim się doczeka najwyższéj godności. Pan Myszkowski pozdrawia pana serdecznie. Jest on bardzo przywiązany do Saxonii i kiedy się zejdziemy, mówimy o sprawach publicznych. On mi daje nauki; urządzamy los narodów z wielką sprawiedliwością; szkoda wielka, że wszystkie nasze bardzo piękne urządzenia starzeją się w zapomnieniu. Mówił mi, że gdyby miał do wybierania między księciem administratorem i księciem kurlandzkim, pomieszanie spraw nakłaniałoby go na stronę ostatniego, i chyba jedna rzecz trzymałaby go w zawieszeniu. Książę kurlandzki, mówił, nauczył się naszych obyczajów, imperatorowa mogłaby sobie utrzymać swego księcia Birona bez pokrzywdzenia naszego.

»To nie ja sam tak utrzymuję, jest wielu innych, którzy w tym książęciu upatrują tylko te wady, że się ożenił i że nie ma orszaku z 20 do 30,000 ludzi dobrze żywionych i uzbrojonych. Gdyby to miał, udawałby się prześlicznie i bardziéj biłby w oczy, jak Stanisław II., Jan IV., August Alexander, Adam I., wzięci wszyscy razem.«*) Zgadza się, że książę administrator ma także wielkie zdolności; lecz podług niego nie byliby z nim szczęśliwi.

*) Poniatowski, Branicki, Czartoryski, wojewoda ruski i syn jego, Adam, jenerał ziem podolskich.

XVII.

Warszawa, 20. Marca 1764.

Pogłoska, która krąży po mieście, że poseł cesarzowéj-królowéj hrabia Merci d'Argenteau oświadczył prymasowi, iż w przypadku, że Moskale wnijdą do kraju z jednéj, to Austryacy pójdą z drugiéj strony, zdaje mi się być bajką z powietrza wziętą, zwłaszcza, iż dodają, że gdy go się prymas zapytał, czy ma rozkaz uczynienia tego oświadczenia, dał odpowiedź, że nie. Minister, poseł, oświadczać rzecz takiéj wagi, w sprawie tak zajmującéj mocarstwo sąsiedzkie bez rozkazu swego dworu, to mi się zdaje za wielkiém zagadnieniem; potrzebuje więc potwierdzenia. Wojewoda wileński książę Radziwiłł oddał któregoś dnia wizytę nocną biskupowi wileńskiemu Massalskiemu. Straż, która broniła wstępu w godzinę tak niewłaściwą, bo jedenasta już była przeszła, musiała uledz przemocy. Po wyłamaniu drzwi Radziwiłł i jego towarzysze powiedzieli »dobry wieczór« zdumiałemu biskupowi. Gdy ich się zapytał o powód tego niespodziewanego przyjścia, dano mu odpowiedź, że jaśnie oświecony książę pan szuka swoich nieprzyjaciół. »Tu ich nie masz!« odparł biskup. — »Chce książę pan,« mówił jeden z orszaku do wojewody, »to w sztuki posiekamy tego przeklętego popa.« — »Nie; dobra noc,« rzekł Radziwiłł, »proszę wybaczyć méj śmiałości.« — »I ja przepraszam, żem okazał zadziwienie i zalęknięcie,« mówił biskup. — »Do zobaczenia.« — »Bądź książę zdrów.«

Chodźmy za tymi szermierzami, a zobaczymy, iż tylko dla tego spiesznie wychodzili od biskupa, że wznioślejsze zamiary powoływały ich w inne miejsce. Oto weszli do kasztelanowéj, przyjaciołki biskupiéj, gdzie z rozdrażnioną od wina porywczością, wywracali komody, krzesła, zwierciadła i co tylko może być sprzętu w pokojach ozdobnych kobiety wielkiego świata; rozbijali, łamali, a nawet rąbali bez litości. Mówią rozmaicie o téj wyprawie. Są ludzie takie robiący trudności, że nawet uporczywie odmawiają temu czynowi sławy istnienia, i wymazują go zupełnie ze świątyni pamięci. »Lada wąsal,« mówił do mnie człowiek nielubiący grzecznych wyrażeń, »może to wszystko także porobić, skoro kilku kieliszkami gorzałki obwaruje się przeciw obawie, mogącéj wyniknąć z pytania: co też na to powiedzą?«

Marszałek wielki koronny i książę wojewoda ruski ułożyli się nakoniec, że policya miasta i spory rzemieślników, kupców i t. d. mają należeć do pierwszego wyłącznie i pod wszelkim względem; sprawy zaś szlachty będą sądzone w ostatniéj instancyi i bez appellacyi przed tym z dwóch sądów, przed który sprawa będzie wyto-

czoną. Jedném słowem wszelkie sprawy, które za życia króla należą do grodu, nie mogą być odwoływane z jednego sądu przez drugi. Doświadczenie pokaże, czy to ugoda szczera, albo czy też przez kabałę jedna strona myśli podkopać fundamenta drugiéj.

Węgrzyni, którzy tu dotychczas tylko przyjeżdżali w celu sprzedawania wina hurtem i garncem lub kieliszkiem, muszą w skutek wyroku marszałka wielkiego koronnego opuścić miasto, skoro nie są z dawna osiadli, i skoro nie robią układów hurtowych bez szynku. Już to od dawna kupcy polscy nastawali na to; lecz sok winogrona miał tak dobrze działać, że sędziowie zmuszeni jego siłą, zawsze wyrokowali w brew wnioskowi instygatora.

Hetman wielki wyjeżdża z Białostoku dnia 20. b. m., już tu stanęła część jego ekwipażu. Obawiają się i słusznie, aby odtąd spokój pozorny, który trwa ciągle nie był naruszony. Wojska koronne przez dawanie im wielkiego pozwolenia, jeżeli można wierzyć familii, bardzo dokazują po województwach, i prymas miał za powinność uczynić naganne przedstawienie hetmanowi wielkiemu i wyraził się: że zamiast posłać wojska dla strzeżenia granic, jak senat polecił, to karność ich tak rozwiązano, iż każdy patryota i obywatel musi się lękać skutków; nie może zaś powstać większe nieszczęście, jakiemby była konfederacya, a podobne gwałty przyprowadzą do tego. Wierzaj pan, że to wszystko tylko pozór dla ubarwienia tego, co się knuje przeciw hetmanowi i Radziwiłłowi.

Wreszcie sprawy nie zmieniły się od czasu oświadczeń cesarzowéj-królowéj i króla francuzkiego. Familia ciągle podszeptuje; Francya, jak utrzymują jéj emissaryusze, nie ma sił pomimo swych najlepszych chęci, a Austrya? Nie upatruje w tém korzyści, i wielka to jéj zasada nie hazardować za wiele dla miłości swoich sprzymierzeńców. Żeby poprzeć dowodami to rozumowanie bezzasadne, familia wzywa swoich przyjaciół i cały naród, ażeby sądzili o przyszłości przez przeszłość; przeciwnie zaś król pruski nie dający się zachwiać w swoich zamiarach zaradzi, iż mu nikt nie wyrzuci zawodu wyrządzonego.

Familia nie daje się teraz jeszcze odstraszać. Jeżeli zaś celu nie osięgnie, to też zapewne nie książę administrator saski powinienby myślić o koronie. »Pan wiesz, mości kr.,« mówił do mnie jeden przyjaciel, »ile poszanowania miały dla księżnéj kurlandzkiéj, wojewodzina ruska, kanclerzowa litewska, strażnikowa Lubomirska; one się prawie luzowały, żeby nigdy nie była sama. Tak tedy cała familia aż do kobiet pracuje w jednym celu; przypuściwszy, iż okoliczności byłyby mniéj przyjaźne Czartoryskim, jak są w istocie, natenczas w samym księciu kurlandzkim umieliby znaleść źródło pomocy. Polityka zniewala ich, iż mu okazują więcéj życzliwości niż księciu administratorowi. Opanowanie Kurlandyi przez kogo innego jest także jednym z powodów.

Co godzina wyglądają z niecierpliwością przyjazdu książęcia Schönaich Carolath, posła pruskiego, i myślą, że przenikną zamiary monarchy, który w swém ręku trzyma losy północy.

Krytyka.

Obraz myśli mojéj na pamiątkę żonie i dzieciom, *przez Floryana Bochwica. Część I. i II. Wilno* 1838. *i* 1839. *r.*

(Ciąg dalszy.)

W artykule drugim wywodzi autor, że człowiek jest celem wszystkiego stworzenia raz dla tego, że on sam zdolen odgadywać myśl bożą, powtóre że w nim skupiają się i centralizują wszystkie środki i pośrednicze widoki, i on dla tego jest myślą panującą widomego świata, dla niego Bóg wszystko stworzył, acz to jest istotka w ogromie tworów boskich niedojrzana mdła i chwilowa. — Dotknęliśmy wyżéj w téj saméj materyi, jako wniosek z ziemi naszéj, gdzie człowiek jest tworem najdoskonalszym, na wszystkie światy jest za zuchwały, i powstał ze sądu myśli, która tylko niższe stanowiska objąć i osądzić może, a nie pojmując wyższych, twierdzi, że nie ma żadnych. Wszakże już między ludźmi samymi jest niezliczona rozmaitość potęg myśli, nie miałożby być takiéj rozmaitości w rozliczności tworów, których nie znamy? Już myśl pacholęca ludu wypełniła światy będące po za sferą planety naszego tworami wyższéj doskonałości, jak jest doskonałość człowieka. Prawda, że dany jest wół i koń powolne na jego usługi w uprawie ziemi, daną jest owca i len dostarczające mu okrycia, dane są rośliny, ptastwa, ryby i zwierzęta ku jego pożywności. Ale i zwierzęciu dane jest to wszystko, i zwierz żywi się z traw i zwierząt, leczy się ziołami, ściele sobie gniazdo, a tam gdzie silniejsza jest odeń natura, przed żarłocznym tygrysem, jadowitą żmiją, nawałnością wód, grzmotów i powietrza, — ginie jako i człowiek ginie. Zkądże ten wniosek, że człowiek jeden jest panem natury, że jemu samemu wszystko służy stworzenie? *Eripuit fulmen coelo* jest potężne wyrażenie, bo i potężna była myśl Franklina, ale było to tylko odgadnienie jednego sekretu natury, a tych tajemnic jest bez końca. Wielki jest ogrom wiadomości człowieka, ale jako na człowieka, maluczka zaś makula w porównaniu z nieskończonością myśli sił i światów. Tak więc odgadywanie myśli bożéj, jako i centralizowanie się wiedzy w człowieku dowodzi doskonalszego w nim utworu nad inne twory, ale nie dowodzi, aby w nim były granice twórczéj siły Boga, aby on był ostatecznym celem wszystkiego stworzenia. Jako zaś przejścia są w całéj przyrodzie od tworów mniéj doskonałych do doskonalszych, od kamieni do roślin, od roślin do zwierząt, od zwierząt do ludzi, podobnie są przejścia od ludzi do istót wyższego rzędu, i podobno jasnowidzący, somnambuliści i tym podobne osoby słabego ciała, a przebierającéj po za materyą potęgi ducha, stanowią to przejście.

»Zwróćmy uwagę wolną od uprzedzenia: — powiada autor — w czémże inném główny cel stworzenia postrzedz się może, jeźli nie w wydaniu istoty człowieka? Bo czy w tém: aby martwy mechanizm świata odbywał wymuszone ustronnemi siłami obroty? czy w tém: aby żyjątka i zwierzęta

materyalną odżywnością jedynie zajęte, na tym świecie byt miały? czyli raczéj na tém, aby świat, rośliny i zwierzęta służyły za poprzednie środki do utrzymania bytu człowieka, jako istoty, która myślą ogarnia świat cały, która przenika i poznaje naturę i prawa świata, roślin i zwierząt, która na wzór dzieł boskich, pojąwszy jego prawa i rachunek, tworzy w naśladowaniu zadziwiające wynalazki!« i t. d. »Bóg potrzebuje udzielać szczęścia, a człowiek czuje potrzebę szczęścia, potrzeba ta jest ogniwem stwórcy ze stworzeniem.« — Wyobrażenia tego rodzaju wyjęte z anthropomorfizowania najwyższéj istoty, najbliżéj leżą pojęciu człowieka, bo się do niego samego odnoszą; najwięcéj ich naturalnie tam, gdzie jest stanowisko filozofii religijne, będące całe anthropomorficznem. Ma ono to złe ze siebie, że na szczupły nader zakrój mierzy potęgę ducha, a przeciwnie wysoko stawia duchową własność człowieka. Przez takie samowolne zbliżenie Boga z człowiekiem wypadło, że nic nie ma godnego w stworzeniu całém jak Bóg i człowiek. Bóg dla człowieka świat stworzył, napisał mu prawa na kamiennych tablicach, nadawał mu królów i t. p. Cała zaś natura jest tylko martwy mechanizm, podnóże stopy człowieka. Długoż to z takiego wyobrażenia gwiazdy nie brano za światełka na firmamencie zawieszone, aby w noc człowiekowi przyświecały, a wyższego ich celu nie pojmowano! Długoż to jeszcze planety, księżyce i słońca brane będą za massy martwe, mimo tak blisko leżącéj prawdy, że co życie nadaje, ażali samo może być bez życia?

»Czas jest to słowo tylko, tłumaczące takowe wyobrażenie (przeszłości, obecności i przyszłości), nie żadną zaś istotą rzeczywistą, samoistną. Człowiek zmysłami nie obaczy czasu przeszłego, nie obaczy wczorajszych wydarzeń, ani znajdujących się wczora osób, ani usłyszy wczorajszych rozmów; ale może z przeszłości w wieczność już zapadłéj, wywołać umarłe na świecie obrazy; może przez władzę ducha przenieść się w lata młodzieńcze, może wyobrazić i skombinować jaka ze stanu zdrowia i okoliczności w perspektywie wydaje się mu przyszłość; słowem może się przenieść duchownie po za świat obecny, w przeszłość i przyszłość.« — Rzecz dziwna, że autor ideę ducha miejscami nie potrafił zupełnie oderwać od zmysłowych pojęć, a abstrakcyą czasu dla tego jako rzeczywistość odrzucił, że zmysłami ująć się nie da. Jest w ogólności mylném rozumieniem subjektowe pojmowanie rzeczy zazmysłowych, to jest, jakoby nazwy takich rzeczy były słowa tylko, tłómaczące wyobrażenia zrodzone w głowie człowieka, ale nie mające zewnętrznego rzeczywistego istnienia. Jest to z jednéj strony podstawa tych wszystkich, co uważają człowieka naczyniem wiedzy Boga, nieodbicie potrzebnym tworem w przyrodzie, bez któregoby świat był martwy i bez celu; ale jest z drugiéj strony bardzo ślizkie twierdzenie, bo tym sposobem z człowiekiem wymarłby i zniknął cały świat zazmysłowy. Tak nie jest. Człowiek jest tylko poznawaczem tego świata, który i bez niego istnieje. Przyczyna i skutek n. p. były, są i będą w naturze czyli jest istota jaka, co je pojmuje lub nie. Cel jest jakby myśl zawieszona na każdym listku drzewa, na każdém źdźble i ziarnku. Ale naturalnie że jest myśl tylko bez ciała i kształtu, objawiająca się tylko przez ciało i kształt, pojęcie zazmysłowe pojmowane w zmysłowych pojawach. — Ażaliż więc podług autora długość, szerokość, powierzchnia, miejsce, przestrzeń są słowa tylko? i matematyka wykreślna na tych pojęciach zbudowana, systematem słów tylko, a nie prawd rzeczywistych? Tak i czas. Nie jest to czcze wyobrażenie w głowie człowieka wylęgłe, ale jest myśl zewnątrz nas istniejąca, wyobrażająca nieustanek następstwa zmian i inności po sobie. Zmysłowém wyobrażeniem czasu jest liczba. Rzeczywistość i samoistność czasu w tém leży, że człowiek wywołując myślą zapadłe w przeszłości obrazy ma p e w n o ś ć, że były; jako i to, że wyobrażając sobie, co go jeszcze czeka i co nastąpić jeszcze może, może się pomylić w okolicznościach, ale się nie pomyli, i wie p e w n o, że przyszłość będzie. Ta zatém p e w n o ś ć, ta niczém niezachwiana wiedza o przeszłości, że była, o teraźniejszości, że jest, o przyszłości, że będzie, jest dowodem zupełnym rzeczywistości czasu. Niech autor pomni, iż czas jest słowem tylko dla tego, że człek zmysłami nie obaczy czasu przeszłego, utrzymuje razem, że w ogólności to, co było i stało się, nie miało i nie ma rzeczywistości, bo nie tylko czasu przeszłego, ale i rzeczy z nim zapadłych w przeszłość człowiek nie obaczy, nie usłyszy nigdy. Tak zrosł czas z wypadkami, jak zrosła powierzchnia z ciałem. Ktoby chciał przeczyć istnieniu powierzchni, musiałby przeczyć istnieniu ciała. Czas i przestrzeń są myśli tak rzeczywiste, acz zmysłami nie ujęte, że połączone z sobą nabierają pojawnego życia, odnoszącego się do zmysłu słuchu człowieka. Wszelka słyszaność, wdzięk, głos, ton, są objawem tego życia, odbywa się przez drganie, to jest połączeniem się ilości drgnień pojedyńczych w czasie i ich szerokości (oscylacyi) w przestrzeni. *(Zob. Kremera rys fenomenologii ducha, str. 10.)* — Sam autor zaraz na drugiéj stronnicy przyznał czasowi samoistność, bo powiada str. 18.: »przyczyn ułatwiających lub tamujących rozwinięcie (ducha) nie w czasie ani w stworzeniu szukać należy,« i t. d.

Wielką jest prawda, okazująca wyższe filozoficzne stanowisko autora, gdy dodaje: »Na horyzoncie spółeczności wschodzą inne gwiazdy i inne słońca: tam jeden wielki wynalazek, jest zorzą; jedna myśl wielka, słońcem; jeden geniusz, jeden człowiek zbawicielem ludu; a zbawiciel, wielcy mężowie i myśli wielkie, są posłannikami samego Boga, aby drogę ludowi prostowali. — Z ewang. Jana Rozdz. VI. 38. »Bom zstąpił z nieba, nie iżbym czynił wolę moją, ale wolę onego, który mnie posłał.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W tych dniach wyszło w Wrocławiu tłómaczenie poematu Schulza: »die bezauberte Rose« na język czeski: »Okauzlená ruže«; przekład J. Kacera, wydanie znanego z swéj gorliwości o rozszerzanie literatury Sławian p. Purkiniego, który ukończył także przekład pieśni Szyllera na język czeski i niebawem go wyda.

Drugiego tomu historyi literat. polskiéj Wiszniewskiego już 14 arkuszy wydrukowanych. Wyjścia więc tomu tego spodziewać się będzie można już w Październiku.

Hoffmann v. Fallersleben z Wrocławia wydał przed niejakim czasem w Hamburgu »unpolitische Lieder.« Nie możemy dosyć zalecić czytelnikom tych poezyj, w których autor zupełnie nową drogę obrał; jeżeli któremu narodowi, to Niemcom potrzeba takich poetów, by ich z idealizmu ocucili.

W artykule »Koniec średniowiecznéj dążności w historyi polskiéj« (Nr. 31. 32. Tyg. lit.) prosimy następujące błędy drukarskie sprostować: str. 247 prawa kol. wiersz 5 zamiast upadła: upadała; w. 40 zam. wypychaję się: wypychając; w. 41 zam. szaelm: szalem; w. 48 zam. jak jak: jak; str. 248 lewa kol. w. 3 zam. dwusprzecznych: dwu sprzecznych; prawa kol. w. ostatni zam. (Dlg. s. a.) 1485: r. 1485.; str. 254. lewa kol. w. 5 zam. justissimis: justissimis; prawa kol. w. 29 opuścił (Dlg. s. a.); str. 255 lewa kol. w. 54 zam. legium: legum; str. 256 prawa kol. w. 19 z dołu zam. nie widzą: nie chcą widzieć.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami W. *Deckera i Spółki.*